

TEMATY TYGODNIA

- 12** Joanna Solska **Zabójcze kolejki do leczenia raka**
- 16** Jędrzej Winiński **Soczi 2014 – Petersburg 1703**

POLITYKA

- 20** Mariusz Janicki, Wiesław Władyka **Fenomen Okrągłego Stołu**
- 22** Anna Dąbrowska **Wizyty domowe Tuska**

SPOŁECZEŃSTWO

- 24** Ewa Wilk **Utrudzeni i wypaleni**
- 28** Joanna Podgórska **Niełatwo wystąpić z Kościoła**
- 30** Piotr Pytlakowski **Dwie twarze Brunona K.**
- 32** Edyta Gietka **Poseł Mularczyk dręczy dobrocią**
- 34** Piotr Pytlakowski **Tubalny patriotyzm reżysera Poręby**

ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO

- 37** Iwan Krastew, filozof polityki, o tym, jak nadmiar jawności szkodzi demokracji

RYNEK

- 40** Adam Grzeszak **Oferta dla niewymiarowych**
- 44** Urszula Szyperska **Kto naprawdę skorzysta z Mieszkania dla Młodych**

ŚWIAT

- 46** Andrzej Brzeziecki **UKRAINA Polityczne manewry Janukowycza**
- 50** Artur Domosławski **URUGWAJ Lucia Topolansky – od bojowniczkii do senatorki**
- 54** Tomasz Maćkowiak **CZECHY Zbrodnia i córka**

HISTORIA

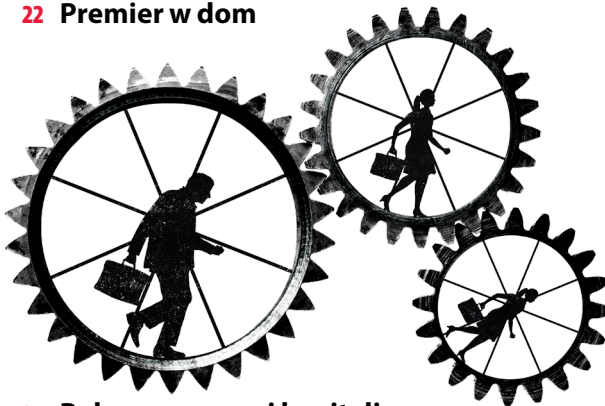
- 56** Rozmowa z **Andrzejem Paczkowskim**, historykiem, o płk. Ryszardzie Kuklińskim, bohaterze filmu „Jack Strong”
- 59** Agnieszka Krzemińska **Znani Mulaci: Dumas i Puszkina**



16 Olimpiada Putina



22 Premier w dom



24 Polacy zmęczeni kapitalizmem



46, 100 UKRAINA Janukowycz kontra obywateli

NAUKA

- 62** Edwin Bendyk **Maszyny zrobią ludzi w konia?**
- 65** Agnieszka Krzemińska **Archeologowie wciąż coś odkrywają w Egipcie**
- 68** Rozmowa z **Mieczysławem Obiedzińskim**, kierownikiem Zakładu Oceny Jakości Żywności SGGW, o tym, czy wędzenie jest niebezpieczne

KULTURA

- 74** Dorota Szwarcman **Liryczny jazz Pawlika**
- 77** **KAWIARNIA LITERACKA Sylwia Chutnik**
- 78** Rozmowa z **Ziemowitem Szczerkim**, laureatem Paszportu POLITYKI, o ukraińskim Mordorze i polskim ugorze
- 80** Janusz Wróblewski **Sorrentino – spadkobierca Felliniego**
- 82** Mirosław Pęczak **Seeger – ojciec protestu**
- 85** **ME A PULPA Kuby Wojewódzkiego**

LUDZIE I STYLE

- 86** Wademar Kuligowski **Karnawał na kanaryjską modłę**
- 89** Ryszard Wolff **Muzyka z kosmosu**
- 92** Marcin Piątek **Olimpijska hipokryzja**

NA WŁASNE OCZY

- 100** Katarzyna Kwiatkowska-Moskaiewicz, fotografie Sławomir Olzacki **Majdan od kuchni**

STAŁE RUBRYKI

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **70** Afisz • **95** Passent
- **96** Hartman • **97** Tym
- **98** Fusy, plusy i minusy
- **106** Polityka i obyczaje

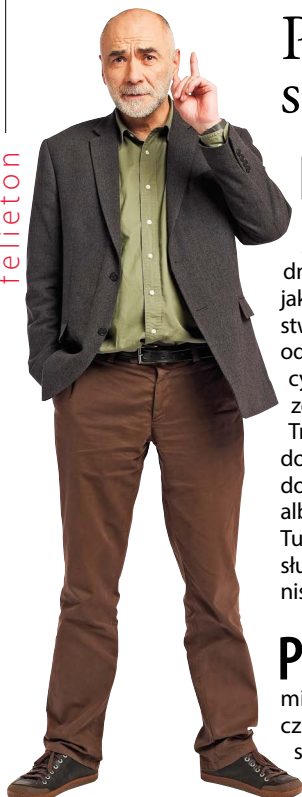


www.mleczeko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKA: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŃKOWSKA 140

ślawomir mizerski z życia sfer

felieton



Problem szatana

Fakty są takie, że gdy ten numer POLITYKI pojawi się w kioskach, do wyjścia Mariusza Trynkiewicza z więzienia pozostanie tylko sześć dni. O rosnącym niebezpieczeństwie, jakie swoim wyjściem z zakładu stworzy on na obszarze całego kraju, od tygodni informują media, politycy, prawnicy i psychologowie. Ich zdaniem wypuszczony na wolność Trynkiewicz jest zdolny do nie wiadomo czego, dlatego z dużym prawdopodobieństwem może coś zrobić albo nie. Nikt nie wierzy, że rząd Tuska zdoła go powstrzymać, a chorą służbę zdrowia, kierowaną przez ministra Arłukowicza – uzdrowić.

Panuje przekonanie, że dla Trynkiewicza w porządnym kraju miejsca nie ma, dlatego nie wyklucza się, że może on zostać przez społeczeństwo złapany i przykładnie zlinczowany.

Próbuje się nas uspokajać informacjami, że w więzieniu Trynkiewicz przeszedł terapię, a nawet objawił pewien talent w dziedzinie rysunku. Możliwe, ale przecież fakt, że Trynkiewicz wziął się do uprawiania sztuki, to najlepszy dowód, że nadal ma ze sobą problemy i nie jest zupełnie normalny. Lekarze znający Trynkiewicza nie pozostawiają złudzeń: mimo przebytej w więzieniu terapii ten człowiek po opuszczeniu więzienia może pojawić się wszędzie.

Podobno najbardziej zagrożona jest aglomeracja śląska, którą kilkanaście dni temu zbulwersowała informacja, że Trynkiewicz może w niej zamieszkać. Główne wydania wiadomości największych stacji telewizyjnych pokazały drastyczne i budzące grozę zdjęcia klatki schodowej i mieszkania, w którym Trynkiewicz może zacząć w biały dzień przebywać, jeśli nikt go nie powstrzyma. Zagroźeni sąsiedzi (mówi się, że mogą znajdować się wśród nich także przyszłe ofiary

Trynkiewicza) wraz z miejscową władzą przystąpili już do akcji protestacyjnej mającej na celu wypuszczenie Szatana z Piotrkowa na teren aglomeracji. Część opinii publicznej ze zdziwieniem przyjęła informację, że w normalnym demokratycznym kraju Trynkiewicza nie można ponownie zamknąć, dopóki nie popełni jakiegoś przestępstwa. A jakie mamy gwarancje, że Trynkiewicz jakiegoś przestępstwa popełni?

Nie da się przecież wykluczyć, że Trynkiewicz okaże się tak chytry, że żadnego przestępstwa nie popełni i będzie sobie spokojnie żył, co ze względów bezpieczeństwa jest zupełnie nie do przyjęcia. Jedyna nadzieja w tym, że zwyrodnialec ten, śledzony dzień i noc przez policję, dziennikarzy i sąsiadów, fotografowany przez paparazzich i zmuszany do udzielania wywiadów, sam w końcu przyjdzie na komisariat i poprosi, żeby go zamknąć, zanim zrobi komuś krzywdę.



IKEA 365+ FAST poduszka ergonomiczna
49,99
 dla śpiących na boku i na plecach,
 33x50 cm, 100% polipropylen,
 poszewka: 55% lyocell, 45% bawełna



GOSA VÄDD poduszka
12,99
 dla śpiących na brzuchu,
 50x60 cm, 100% polipropylen,
 poszewka: 65% poliester, 35% bawełna



DVALA poszewka na poduszkę
19,99/2 szt.
 50x60 cm, 100% bawełna

Wyśpij się dobrze. Jutro dzień pełen frajdy!



PALMLILJA pościel
99,99
 150x200/50x60 cm,
 55% lyocell, 45% bawełna,
 zapięcie na zatrzaski



25⁹⁹ ÖDESTRÄD pościel
 150x200/50x60 cm,
 52% poliester, 48% bawełna



ÅKERTISTEL pościel
59,99
 150x200/50x60 cm,
 100% bawełna,
 zapięcie na zatrzaski



nowość

LISEL pościel
29,99
 150x200/50x60 cm,
 52% poliester, 48% bawełna



nowość

PÄRLHYACINT pościel
49,99
 150x200/50x60 cm,
 100% bawełna



ÅKERKULLA pościel
99,99
 150x200/50x60 cm,
 100% bawełna, ozdobne guziki,
 inny wzór z każdej strony



LYCKOAX pościel
59,99
 150x200/50x60 cm, 100% bawełna
 satynowa, zapięcie na zatrzaski



nowość

RÖDBINKA pościel
139,99
 150x200/50x60 cm,
 100% satynowy lyocell,
 ozdobne kokardy i ukryta kieszeń



12⁹⁹

TAKLOSTA pościel
 150x200/50x60 cm,
 100% poliester



Sałatka z łososiem
9,99

IKEA. Ty tu urządzisz.





© MICHAŁ KOŚC/REPORTER

Bogaci i biedni w Polsce

POLITYKA
INSIGHT
CENTRUM ANALITYCZNE

W Polsce jest tylko 45 tys. dolarowych milionerów, jesteśmy średniakiem w regionie. Według Credit Suisse najwięcej bogaczy jest w Stanach Zjednoczonych – majątek 13 mln osób przekracza wartość 1 mln dol. We Francji milionerów jest 2,2 mln, w Niemczech – 1,7 mln, a w Wielkiej Brytanii – 1,5 mln. Polska jest zaliczana przez bank, razem z Chile (54 tys. milionerów) oraz RPA (43 tys.), do krajów o średnim poziomie majątności. W Rosji mieszka 84 tys. milionerów, a w Grecji – 79 tys.

1 proc. najbogatszych Polaków dysponuje 7 proc. dochodów w kraju. Ich zarobki zaczynają się od 7,5 tys. zł netto, ale prawdziwie wysokie – więcej niż 18 tys. zł netto miesięcznie – ma tylko 0,1 proc. Polaków.

Nierówności dochodowe plasują Polskę na poziomie średniej unijnej. Tzw. wskaźnik Giniego (w formie liczbowej wyrażający np. nierównomierność rozkładu dóbr w społeczeństwie, im jest wyższy, tym większe są nierówności) wynosi dla Polski 30,9, a średnia unijna to 30,6. Co ważne, nierówności dochodowe w Polsce zmniejszyły się od 2006 r. o 2,4 pkt, podczas gdy średnia wzrosła o 0,3 pkt. Największe dysproporcje utrzymują się w krajach bałtyckich oraz na południu Europy: w Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Bułgarii i Rumunii. W Europie Zachodniej największe nierówności występują w Wielkiej Brytanii. Najmniej różnią się między sobą dochody mieszkańców Słowenii, Czech, Słowacji, Węgier, Belgii, Holandii i krajów skandynawskich.

Górne 20 proc. Polaków zarabia 4,9 razy więcej niż dolne 20 proc., jednak ta (wliczana przez Eurostat) proporcja zmniejsza się – spadła z 5,6 w 2006 r., średnia unijna w tym czasie wzrosła z 5,0 do 5,1. Jedna piąta najbogatszych obywateli Hiszpanii zarabia 7,2 razy więcej niż jedna piąta najbiedniejszych – to największa różnica w Unii. W Grecji, Rumunii, Bułgarii i na Ło-

twie wskaźnik ten sięga 6,0. Najmniejsze dysproporcje są w krajach skandynawskich – w Norwegii (3,2), w Szwecji (3,7) – oraz w Czechach (3,5) i na Słowenii (3,4).

U bogich Polaków jest 28 proc. Ilustruje to tzw. wskaźnik deprivacji materialnej, pokazujący, ilu osób nie stać np. na regularne jedzenie mięsa, nowy telefon czy wakacje. Na tle Europy wypadamy słabo – w Unii średni odsetek tak liczonych ubogich to 10 proc. Od 2007 r. ten wskaźnik dla Polski spadł jednak o 10 pkt proc. Więcej ubogich jest w dziewięciu krajach Unii, m.in. w Bułgarii (61 proc. społeczeństwa), w Rumunii (48 proc.), na Węgrzech (44 proc.) i w Grecji (34 proc.). Najniższy poziom deprivacji notuje się w krajach skandynawskich. Najkorzystniejszy, z punktu widzenia rozwoju kraju, jest model z większą liczbą bogatych obywateli i niskim rozwarstwieniem dochodów w społeczeństwie.

PIOTR ARAK

Źródła: IRS, Diagnoza Społeczna 2013, Eurostat, Credit Suisse Wealth Report 2013

Jan Koza



© JAN KOZA

Mały spadek

Po sześciu latach Sejm i Senat zmywa legislacyjną plamę. W 2007 r. premier Jarosław Kaczyński podpisał i przesłał do Sejmu projekt zmiany ustawy o notariacie, a także zmiany treści art. 670 Kodeksu postępowania cywilnego (regulującego procedurę stwierdzenia nabycia spadku), w którym rządowi legislatorzy m.in. napisali: „Sąd (...) w szczególności bada, czy **spadkobierca** pozostawił testament...”. Oczywiście, zamiast słowa spadkobierca powinno tu być słowo **spadkodawca**. Błędy w rządowym projekcie nie dostrzegła sejmowa podkomisja kierowana przez posła Marka Asta ani komisja sprawiedliwości, której ów projekt rekomendował poseł Arkadiusz Mularczyk, w obecności reprezentującej rząd wiceminister sprawiedliwości Beaty Kempy. Błędy nie wytapali też: sejmowi legislatorzy, prof. Aleksander Oleszko z UMCS, autor opinii o projekcie ustawy, i żaden z ponad 400 posłów głosujących za jej przyjęciem. W Senacie błąd przepuściła komisja kierowana przez senatora Zbigniewa Romaszewskiego (fizyka), w której zasiadały prawnicze tuzy: Aleksander Bentkowski, Robert Smoktunowicz, Anna Kurska i Krzysztof Piesiewicz, jak i senaccy legislatorzy. Nie popisali się też prawnicy prezydenta Lecha Kaczyńskiego i ten ustawę podpisał. O błędzie w art. 670 nic też nie napisali utytułowani autorzy co najmniej trzech komentarzy do kpc, wydanych już po 2007 r. Sygnał o nim pojawił się we wrześniu ub.r. na internetowym Forum Sędziów RP i w blogu „Sub iudice”, prowadzonym przez sędziego, który uważnie przeczytał przepis w brzmieniu uchwalonym w 2007 r. „Wszyscy zorientowaliśmy się po niewczasie” – tłumaczył teraz senatorom tę legislacyjną wpadkę Wojciech Węgrzyn, wiceminister sprawiedliwości. Zaakceptowana przez Sejm i Senat poprawka czeka jeszcze na podpis prezydenta. **(M.H.)**

Antoni i patroni

Co było najważniejsze w minionym tygodniu? Gdy spojrzeć na realne polityczne znaczenie, to bez wątplenia podróże premiera Donalda Tuska w sprawie Ukrainy. Na razie premier uzyskał zgodne potwierdzenie, że umowa stowarzyszeniowa nadal leży na stole. Czy może pojawić się coś więcej, jakiś dodatkowy parasol ochronny na wypadek, gdyby rzeczywistość na Ukrainie zwyciężyła opcja prozachodnia, co mogłoby spowodować zwinięcie ekonomicznego rosyjskiego parasola? Premier jest ostrożny w słowach, bo wiadomo, że Unia pieniędzmi nie sypnie, żadnego nowego planu Marshalla nie będzie. Ale jednak zapowiedzi poszukiwania „różnych narzędzi” oznaczają, że warunki finansowe mogą się zmienić. Dla Europy staje się oczywiste, że bez pomocy Ukrainie w rozwiązaniu kwestii energetycznych prozachodni kurs tego kraju prędzej czy później upadnie pod naporem ekonomicznych realiów. Inicjatywa premiera dowodzi nie tylko, że Polska nadal odgrywa w procesie przyciągania Ukrainy do Europy rolę zasadniczą, ale także że europejska pozycja samego premiera Tuska jest mocna. Że może w krótkim czasie rozmawiać ze wszystkimi europejskimi politykami nawet na niewygodny dla nich temat.

Przeglądam sukcesywnie napływające esemesy o konferencjach prasowych, jakie partie polityczne organizują w Sejmie. W tygodniu „pozasejmowym”, czyli kiedy nie ma obrad plenarnych, jest ich mniej, ale zawsze ponad 20 się zbierze. I otóż w tygodniu wyjątkowej aktywności premiera w sprawie, którą wszyscy w deklaracjach uznają za polską ramię stanu, nie znalazłam ani jednej, która dotyczyłaby poparcia dla misji premiera. Były jedynie zapowiedzi kolejnych wycieczek na kijowski Majdan. Na internetowych portalach, nawet mediów zdawałoby się poważnych, czytałam opinie, że to wszystko „piar” na wewnętrzny, krajowy użytek, bo Platforma ma ciągle słabe notowania. Czy prawica milczy dlatego, że jej „gwiazda przewodnia”, Victor Orbán, w czasie kiedy Tusk szukał poparcia dla Ukrainy w europejskich stolicach, udał się właśnie do Moskwy, z którą prowadzi coraz gorętszy gospodarczy flirt, niekoniecznie zgodny z polityką Unii? Niekomfortowa sytuacja?

Prowincjonalizm naszego życia politycznego, całkowite zatopienie go w wewnętrznych połajankach, w minionym tygodniu objawił się w całej pełni. Ile razy można zadawać pytanie, czy będzie komisja śledcza w sprawie dokonania Antoniego Macierewicza, którego publiczna działalność powinna zostać poważnie oceniona, ale najwyraźniej nie będzie? Komisja, gdyby nawet powstała, i tak nic by nie ustaliła, stałaby się jedynie areną popisów słabych jej członków. Bo kto mógłby w niej zasiąść? Przykre, ale kandydatów zdolnych cokolwiek osiągnąć poza własną promocją (a i to niekoniecznie) nie widać. Zresztą, być może Macierewicz rzeczywiście jest niewinny.

Analiza ustaw o rozwiązaniu WSI oraz jej nowelizacji przeprowadzonej z inicjatywy prezydenta Lecha Kaczyńskiego (uchwaloną już tylko koalicyjną większością PiS, Samoobrony i LPR) taki ważny trop podsuwa. W ustawie o likwidacji WSI nie ma mowy o tym, że ma powstać publiczny raport. Pojawia się on dopiero w nowelizacji, która szczegółowo opisuje, co powinien zawierać. Przepisy nowelizacji i raport to jednak dwa zupełnie odrębne światy. Po prostu raport nie zawiera tego, co zapisano w ustawie,



a mimo to prezydent Lech Kaczyński szybko (po czterech dniach od chwili dostarczenia dokumentu) skierował go do rozposzechnienia. Jednak aby rozpowszechnienie było możliwe, potrzebna była kontrasygnata premiera Jarosława Kaczyńskiego, która ostatecznie znośła klauzulę tajności dokumentu. Kontrasygnata też natychmiast się pojawiła, co puściło w ruch maszyny drukarskie, aby dokument pojawił się w Monitorze Polskim, gdzie do dziś się znajduje, choć zawiera kłamstwa i pomówienia ustalone prawomocnymi wyrokami sądowymi.

Odpowiedzialności nie ponosi więc bezpośrednio Antoni Macierewicz ani nawet minister obrony narodowej, który jedynie zapewniał finansowanie komisji weryfikacyjnej i nie wiadomo, dlaczego dziś przeprasza. Odpowiedzialność ponoszą bracia Kaczyńscy – prezydent i premier. To od nich i tylko od nich zależał skład komisji weryfikacyjnej (każdy typował 12 członków, prezydent wyznaczał przewodniczącego), oni byli zobowiązani do tego, aby treści raportu odpowiadały ustawowym zapisom. To oni więc złamali prawo, pozwalając na opublikowanie dokumentu zupełnie niezgodnego z zapisami ustawy. Macierewicz mógł prezydentowi dostarczyć nawet paczkę makulatury, ale to wolą prezydenta, kontrasygnowaną podpisem premiera, było publikowanie lub nie. Może więc nie trzeba widowiska i politycznego łomotu w komisji śledczej, ale rzecz kwalifikuje się do Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej?

Bo tu przekroczeń jest więcej, np. pośpiech przy publikacji. Po stanowienie prezydenta o upowszechnieniu raportu nie zawiera adnotacji, że następuje ona natychmiast, a więc w Monitorze raport powinien znaleźć się nie następnego dnia, ale po upływie dwóch tygodni. Prezydent Lech Kaczyński nie żyje, ale były premier działa nadal, i to aktywnie, szuka się nawet do przejęcia władzy. Czy to powstrzymuje polityków, prokuraturę i sądy, aby spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia? Czy dlatego nie ma żadnego poważnego namysłu prawnego, kto ponosi rzeczywistą odpowiedzialność za stan, jaki powstał po dekonspiracji służby specjalnej i jej agentury, i to w czasie kiedy wojsko polskie rozpoczęło trudną misję w Afganistanie? Zresztą jakiś wniosek o odpowiedzialność konstytucyjną premiera Kaczyńskiego w sprawie śmierci Barbary Blidy gdzieś się płacze po Sejmie i nic z tego nie wynika.

Oczywiście, że ustawę o likwidacji WSI pisało „pod Macierewicza”, tak samo jak ustawę o CBA pod Mariusza Kamińskiego, podobnie jak Jarosław Gowin pod Mariusza Trynkiewicza pisał projekt ustawy o szczególnie groźnych przestępcach i ich izolacji. Gowin właśnie ogłosił, że startuje do Parlamentu Europejskiego, a jako wyznawca zasady, że prawo jednak działa wstecz, będzie się tam niewątpliwie czymś wyróżniał. Zawsze mechanizm był podobny – histeryczny szum medialny, byle jaki projekt, aby przypodobać się opinii publicznej i załatwić doraźny interes polityczny, a potem same kłopoty. Nie tylko prawne. Także w realu. Rozwalenie wywiadu wojskowego, prowokacje wobec premiera i próba obalenia rządu, rozgrzanie do białości opinii publicznej, która dzisiaj gotowa jest linczować każdego zwalniającego z więzienia pedofila, i zapewne taśmowe wnioski naczelników więzień o specjalny nadzór, czyli w efekcie o powtórne ukaranie (któż się nie boi, że coś się stanie i sam straci stanowisko?). Polityczny łomot zamiast polityki.



© ZOFIA NASIEROWSKA/REPORTER

Królowa była jedna

Kiedy wkracza na scenę, w kraju kończy się PRL – mawiano na wpół żartobliwie o **Ninie Andrycz**. Przez 70 lat swojej kariery, spędzonej na deskach jednego teatru – warszawskiego Polskiego, zagrała ponad sto ról, a jej specjalnością były wielkie damy, kobiety władcze i targane namiętnościami. Do historii teatru przeszły zwłaszcza jej kreacje królowych: Marii Stuart (w sztuce Słowackiego), Elżbiety (w „Marii Stuart” Schillera), Królowej Małgorzaty (w „Ryszardzie III” Szekspira). W 2001 r., przy okazji swojej ostatniej roli, Elżbiety I w sztuce Esther Vilar „Królowa i Szekspir” wystawionej w Teatrze Na Woli, mówiła: „Dobry Pan Bóg nie stworzył mnie do roli sierotki Marysi. Moja Elżbieta nie umiera w łóżku. Umiera stojąc, wczepiona w tron. Taka już jestem”.

Piękna, inteligentna, świadoma swojej wyjątkowości i wymagająca hołdów. Na scenie i w życiu. Była dumna ze swojego kresowego zaśpiewu i przedniojęzykowo-zębowego „ł”. Nie przyjmowała do wiadomości zmian estetycznych w teatrze i poza nim, nigdy nie zamierzała się pozbywać XIX-wiecznego patosu w grze, który z czasem stał się manierą i był powodem żartów. Andrycz to nie przeszkadzało, szczyliła się niezależnością intelektualną i materialną, także wtedy, gdy była żoną premiera Józefa Cyrankiewicza. Pisać zaczęła w czasie wojny, kiedy zarabiała na życie pracą kelnerki. Wydała tomiki wierszy i utwory autobiograficzne. Ostatni, książkę „Patrzę i wspominam”, w ubiegłym roku. Zmarła kilka miesięcy po swoich 101 urodzinach.

ANETA KYZIOŁ

Artykuł o Ninie Andrycz „Jak Nina cofnęła czas” Liliany Śnieg-Czaplewskiej opublikowaliśmy w POLITYCE 46/13.

Misja w sprawie buta

Czy śnieg w Polsce różni się czymś od śniegu w Afganistanie? Chyba tak, skoro w marcu 2013 r. z bydgoskiego Centrum Doktryn i Szkolenia Sił Zbrojnych wysłano do Afganistanu czterech oficerów, by rozwiązać zgłoszony przez żołnierza z naszego kontyngentu problem ze ślizgającymi się butami. Ujawnił to dyrektor CDiS Włodzimierz Sąsiadek (gen. dyw. w stanie spoczynku), poproszony podczas posiedzenia sejmowej komisji obrony przez docieklivego posła Ludwika Dorna o podanie przykładu korzystania przez Centrum z doświadczeń naszych żołnierzy. Dyrektor pochwalił się, że wysłani do Afganistanu oficerowie zrobili analizę sytuacji. Odpowiednią rekomendację przesłano szefowi Sztabu Generalnego i ten podjął decyzję, by Inspektorat Wsparcia (kwatremistrzostwo) wyposażyć żołnierzy w antypoślizgowe „prozaiczne nakładki na buty w postaci spirali”. Wysłanie misji badawczej w sprawie ślizgającego się buta wydało się tak nieprawdopodobne, że zapytaliśmy o szczegóły tej eskapady. Rzecznik Centrum odpowiedział, że „weryfikacja obserwacji dotyczącej nakładek na buty” była tylko jednym z zadań oficerów wysłanych do Afganistanu. Zasadniczym było pozyskanie danych do analiz potrzeb kontyngentu „w zakresie sprawnego wycofania sił i środków z teatru działań”. Dyr. Sąsiadek, odpowiadając ściśle na pytanie posła Dorna, podał przykład nakładek i „tym samym zasadniczy cel wyjazdu grupy badawczej do Afganistanu nie wybrzmiał w jego odpowiedzi” – zaznaczył rzecznik. Z wypowiedzi dyrektora „wybrzmiało” natomiast to, że aby wyposażyć żołnierza w warte kilkanaście złotych nakładki na buty, potrzeba dziś rekomendacji Centrum i decyzji szefa Sztabu Generalnego. (M.H.)



© EPA/PAP

Niemieckie prawa do polskich Maków

Kiedy wywodzący się z Armii Czerwonej **Chór Aleksandrowa** zaczyna śpiewać „Czerwone maki na Monte Cassino”, polska widzownia zrywa się z miejsc. Wszyscy wiedzą, że przy tej pieśni, nieomal drugim hymnie, nie wypada siedzieć. Mało kto za to zdaje sobie sprawę, że kilka procent opłat za bilety popłynęło do Niemiec: prawa do tantiem za „Czerwone maki” ma GEMA, niemiecki odpowiednik ZAIKS. Dlaczego właśnie Niemcy? Bo tam po powojennej tułaczce zamieszkał kompozytor pieśni Alfred Shütz. Przed wojną (urodzony w Tarnopolu) współpracował m.in. z Wesołą Lwowską Falą, po 1941 r. przystąpił do Armii Andersa, gdzie kilka godzin przed zdobyciem Monte Cassino (maj 1944 r.) skomponował muzykę do wiersza kolegi. Po śmierci Shütza dysponentem praw do melodii stała się jedna z monachijskich kancelarii prawnych.

– Bez jej wiedzy i zgody nie można ani w żaden sposób ingerować w utwór, ani twórczo wykorzystywać jego fragmentów, czyli np. nagrywać coverów – tłumaczy muzyk Lech Makowiecki,

który chciał wykorzystać fragment „Czerwonych maków” w swojej balladzie „Klasztor”. – Polski ZAIKS i niemiecka GEMA niczego nie zamierzały mi ułatwiać. U nas usłyszałem wręcz, że nikomu od 1945 r. uzyskanie takiej zgody się nie powiodło i mam jeden procent szans. Nie wyobrażałem sobie płyty bez cytatu z pieśni i – po roku poszukiwań – dotarłem do kancelarii. Zgodę dostałem, łącznie z decyzją o oddaniu 50 proc. tantiem za wykorzystanie fragmentu refrenu „Czerwonych maków”. Od tej pory połowa moich honorariów za muzykę do „Klasztoru” kierowana jest do Niemiec. Inne spojrzenie na tę historię ma Piotr Skulski, menedżer Chóru Aleksandrowa od 10 lat śpiewającego „Czerwone maki” podczas polskich tournée. Owszem, za każde wykonanie musi odprowadzać tantiemy do ZAIKS, który potem rozlicza się ze swoim niemieckim odpowiednikiem, czyli GEMA. – Ale sam fakt, że chór wywodzący się z Armii Czerwonej śpiewa tę pieśń na baczność i po polsku, powinien dawać do myślenia – mówi Skulski. – Mam nadzieję, że Stalin się w grobie przewraca. (E.T.)

LUTOWA
7-KA

Bezpieczna inwestycja i szybki zysk mogą iść w parze.

Tylko w lutym

nowa 7-miesięczna obligacja skarbowa

- z miesięczną kapitalizacją odsetek
- z możliwością wycofania środków bez dodatkowych opłat i utraty zgromadzonych odsetek



Wysokie oprocentowanie

1% w pierwszym miesiącu

2% od 2. do 6. miesiąca

7% w 7. miesiącu

2,62%

w skali roku

Obligacje skarbowe kupisz w oddziałach PKO Banku Polskiego, przez telefon i internet.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie reklamowy i informacyjny oraz nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks cywilny. Informacje zawarte w niniejszym materiale nie mogą być traktowane jako propozycja nabycia instrumentów finansowych. Szczegółowe informacje dotyczące produktu określone są w liście emisyjnym.

www.obligacjeskarbowe.pl
Infolinia:

801 310 210

+ 48 81 535 66 55

Opłata jak za połączenie lokalne.



MINISTERSTWO FINANSÓW

**OBLIGACJE
SKARBOWE**

BEZPIECZNY ZYSK



© REUTERS/FORUM

Przyspieszone, wydłużone

Obywatele skłóconej politycznie Tajlandii wybierają nowy parlament. Przyspieszone głosowanie odbyło się w niedzielę 2 lutego, ale zostanie ono znacznie przedłużone. Tajlandzka komisja wyborcza prognozuje, że dogrywki mogą potrwać nawet kilka tygodni. To wina czy też zasługa opozycji, która zabarykadowała dostęp do około 10 proc. urn, powstrzymując od wrzucenia kart nawet kilka milionów Tajów, głównie z niektórych dzielnic Bangkoku i południa kraju. Opozycja od miesięcy okupuje bangkockie ulice i place, a teraz zablokowała urny, bo wynik wyborów jest i tak niemal pewny. Szósty raz z rzędu zwyciężyła partia **Yingluck Shinawatry**, obecnej premier. Jej rodzina, zwłaszcza pozostający na emigracji brat i były szef rządu, uważani są przez miejską, zamożną i dobrze wykształconą klasę średnią za klan groźnych populistów manipulujących biedniejszymi Tajami.

Mieszczuchowie są przekonani, że Shinawatrowie dzięki stanowiskom państwowym powiększają swój miliardowy majątek i tworzą dynastię, która na wiele lat zdominuje tajlandzkie życie polityczne i zagrozi wręcz pozycji wielbionego króla. Pani premier została uznana również za marionetkę w rękach brata, która ma torować mu drogę powrotu z wygnania. Dlatego opozycja – oskarżana o faszystowskie ciągoty – z takim zapalem kwestionuje wolę większości i mechanizmy demokracji. Przynajmniej w obecnym kształcie, manifestanci domagają się bowiem ustąpienia pani premier i zwołania specjalnej komisji, która skonstruowałaby nowy ustrój, oczywiście z zachowaniem monarchii. Premier nie widzi żadnego sensu w tym wniosku, więc pat trwa.

Koniec ery czołgów

Wieszczą tak dziennik „Washington Post” i na razie tylko w USA. W Stanach nawet wojskowi nie chcą już kolejnych wersji nieporęcznych i drogich w transporcie na duże odległości czołgów i cięższych modeli bojowych wozów piechoty. Zgodnie z najnowszą modą woleliby np. rozwój poręczniejszych samolotów bezzałogowych. Ale z pomysłami żołnierzy niekoniecznie zgodzą się politycy. Ograniczenie zakupów dla armii spowoduje opór wpływowego lobby zbrojeniowego, zamknięcie fabryk, kłopotliwe zwolnienia pracowników (zatrudnienie ogranicza już choćby wytwórca **czołgu Abrams**), tarapaty setek firm dostarczających podzespoły itd. A strategzy podpowiadają zawsze, że niemądrze jest pozbywać się technologii, umiejętności albo gotowości do produkcji dowolnego typu uzbrojenia, po prostu nie wiadomo, jaki sprzęt będzie potrzebny podczas następnego konfliktu. Chyba więc pancerni nieprędko wypadną z łask.



© AP/EAST NEWS

Gender w Panthéonie

Tylko dwie kobiety i 71 mężczyzn – tak wygląda lista zasłużonych dla Francji, złożonych w paryskim Panthéonie (ostatni spoczął tam w XX w.). Dlatego François Hollande, który jako prezydent decyduje o pochówkach w nekropolii, zalecił poszukiwania nowego bohatera narodowego. A jeszcze lepiej bohaterki – bo taki postulat jednego z feministycznych stowarzyszeń szybko zyskał powszechną aprobatę. Dotychczas do Panthéonu trafiła tylko „Marie Curie”, znana też jako Skłodowska, oraz Sophie Berthelot, ale dlatego że była żoną znanego chemika.

Neoklasycy Panthéon, który do wybuchu rewolucji miał być największym kościołem w Paryżu, od początku budził emocje. Pierwszy tam złożony, książę de Mirabeau, przewodniczący rewolucyjnego Zgromadzenia Narodowego, przeleżał tylko trzy lata. Jego miejsce zajął Jean-Paul Marat, który spoczywał tu jeszcze krócej. Zmienne nastroje Francuzów do dziś prześladują te stare krypty. Nicolas Sarkozy chciał tam złożyć Alberta Camusa, ale nie zgodziła się rodzina. Pierwszą propozycją feministek była walcząca o prawa kobiet w XVIII w. pisarka Olimpia de Gouges, ale nie znaleziono jej ciała. Teraz faworytką jest Germaine Tillion, zaangażowana w la Résistance antropolożka, która po wojnie walczyła o prawa Berberów. Genialnym wyborem byłaby zapewne słynna amerykańska tancerka Josephine Baker, która w 1937 r. dostała francuskie obywatelstwo i również walczyła w ruchu oporu. Szanse ma jednak niewielkie, bo nieopatrznie zgłosili ją Amerykanie.

Olimpiada nie dla Indii

Saneckarz **Shiva Kashavan** to jeden z trójki indyjskich olimpijczyków, którzy wystartują w Soczi. Sanki zrobił sobie sam. Na prawdziwych torach startuje rzadziej niż raz w roku, częściej ślizga się na małej platformie z kółkami po himalajskich drogach. I tak jest szczęściarzem, bo sam załatwił sobie sponsorów, którzy zapłacili za jego wyprawę do Rosji. Pozostali dwaj (narciarstwo alpejskie i klasyczne) jeszcze w połowie stycznia nie wiedzieli, czy dotrą do Soczi. Nawet jeśli wszystko się powiedzie, to i tak nie będą reprezentować Indii.

Tamtejsza federacja olimpijska jest zawieszona przez MKOl, m.in. z powodu korupcji i kryminalnej przeszłości jej byłego szefa. Oznacza to, że reprezentanci tego kraju muszą wystartować jako niezależni. W trakcie uroczystości otwarcia zamiast indyjskiej flagi będą nieśli olimpijską, a nawet jeśli zdobędą złoty medal, nie usłyszą hymnu. Takie rozczarowanie raczej im jednak nie grozi. Indyjscy zawodnicy na wszystkich olimpiadach zdobyli zaledwie 26 medali (mniej niż Korea Północna), w tym żadnego na zimowych.



© REUTERS/FORUM

Komu odbiła sodówka?

Scarlett Johansson bez wątpienia była gwiazdą bloków reklamowych podczas niedzielnego Super Bowl, finału ligi futbolu amerykańskiego NFL. Na początku stycznia amerykańska aktorka podpisała umowę z izraelską firmą SodaStream, produkującą syfony do gazowania wody, i wystąpiła w jej reklamie.

Wtedy wybuchła afera. Organizacje walczące o prawa Palestyńczyków zarzuciły SodaStream, że jej fabryka znajduje się na Zachodnim Brzegu Jordanu, czyli na palestyńskich terytoriach okupowanych przez Izrael od 1967 r. W świetle prawa międzynarodowego budownictwo na terenach okupowanych, a co za tym idzie również produkcja, są nielegalne. Kierownictwo firmy natychmiast odpowiedziało, że pracują tam przede wszystkim Palestyńczycy, czym SodaStream przyczynia się do pokoju. Johansson, która nie kryje się ze swoimi żydowskimi korzeniami, stanęła po stronie firmy. W rezultacie musiała zrezygnować z pozycji ambasadorki brytyjskiej organizacji charytatywnej Oxfam, która potępia produkty „Made In Terytorium Okupowane”. Mimo protestów, telewizje wyemitowały reklamę podczas Super Bowl. Doszło do kompromisu: SodaStream nie przeprosiła za izraelską okupację, ale wycięła z filmu atak na Pepsi i Coca-Colę.



© AN

Archanioł Gabriel i Holocaust

Randolph Brahm, pochodzący z Siedmiogrodu 91-letni profesor historii, twórca najważniejszego dzieła o losach węgierskich Żydów w czasach Zagłady, zwrócił Order Zasługi przyznany przez węgierskie władze i zażądał usunięcia swojego imienia z nazwy działu dokumentacji w budapeszteńskim Centrum Pamięci o Holocaustie. „Kropłą, która przepęłniła czarę goryczy”, jak napisał, stał się projekt **pomnika** upamiętniającego inwazję hitlerowskich Niemiec na Węgry w marcu 1944 r. Przedstawia on imperialnego niemieckiego orła atakującego uosabiającego Węgry siedmiometrowego Archanioła Gabriela. W opinii Brahama taka wizja niewinnych Węgień w obliczu agresora „to tchórzliwa próba odwrócenia uwagi”, fałszowania historii i pomniejszania roli ówczesnego węgierskiego państwa pod wodzą kolaborującego z Hitlerem admirała Horthyego w Ludobójstwie Żydów. „Niemieckiej okupacji nie tylko nie stawiano oporu, ale cieszyła się poparciem, na co jasno wskazują dokumenty”. W podobnym duchu wypowiedział się Andras Heiszler,

przewodniczący Mazsihisz, organizacji reprezentującej społeczność 100 tys. węgierskich Żydów, który zapowiedział bojkot państwowych uroczystości upamiętniających wydarzenia sprzed 70 lat. „To nie Niemcy umieścili nas w getcie, ale węgierscy żołnierze, węgierscy żandarmi i Strzałokrzyżowcy” – powiedział w telewizji ATV. Latem 1944 r., po masowej akcji deportacyjnej, ok. 450 tys. węgierskich Żydów poniosło śmierć w obozach zagłady. List protestacyjny w sprawie pomnika wystosowało też 26 węgierskich historyków. Chodzi również o pospieszną decyzję w tej sprawie, która zapadła ledwie w grudniu, a także o brak jakiegokolwiek dyskusji i publicznej refleksji nad symboliką tego momentu.

Odpowiadający na te głosy krytyki premier Viktor Orbán przekonywał, że pomnik uosabia tragedię całego narodu węgierskiego, a więc także Żydów. Władze wielokrotnie uznawały udział ówczesnego państwa węgierskiego w Holocaustie, a ostatnio przeproszał za to na forum ONZ ambasador Węgier. Pomnik ma być



© AN

odsłonięty 19 marca, w rocznicę inwazji, na stołecznym placu Wolności. Mieści on już pomnik poświęcony żołnierzom radzieckim oraz pomnik Ronalda Reagana. A na terenie pobliskiego kościoła odsłonięto niedawno popiersie admirała Horthyego. 6 kwietnia odbędą się zaś wybory parlamentarne. Rządzący Fidesz Orbána prowadzi w sondażach, ale wciąż jest wielu niezdecydowanych, których warto pozyskać za wstawiennictwem Archanioła Gabriela.



W kolejce po życie

Część onkologów uważa, że kolejki do leczenia
Inni są przekonani, że po ich zniesieniu będzie

JOANNA SOLSKA

Rocznice diagnozuje się około 140–160 tys. nowych zachorowań na nowotwory. 100 tys. chorych umiera. W Polsce rak zbiera większe żniwo niż w starych krajach Unii, mimo że w ciągu ostatnich siedmiu lat pula środków na leczenie onkologiczne wzrosła trzykrotnie. Leczenie raka pochłania około 8 mld zł rocznie. Wydajemy coraz więcej, ale kolejki pacjentów się wydłużyły. Bywa, że od momentu diagnozy do rozpoczęcia kuracji mija nawet rok. Nie wszyscy zdążą zacząć się leczyć. Premier nakazał więc ministrowi zdrowia przygotować do marca program naprawczy. Mnożą się podpowiedzi.

Za zniesieniem limitów w onkologii stanowczo opowiada się prof. Jacek Jassem, szef Polskiego Towarzystwa Onkologicznego. Uważa, że to wcale nie musi pociągnąć za sobą większych nakładów finansowych, liczba chorych jest przecież przewidywalna. Wtórzy mu Krzysztof Bukiel, prezes Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy. – *Ograniczanie dostępu do leczenia onkologicznego to barbarzyństwo* – uważa. Łatwo się z tym zgodzić. Ale Zbigniew Pawłowicz, szef Centrum Onkologii w Bydgoszczy i jednocześnie prezes Rady Dyrektorów 16 największych w kraju centrów onkologii, stanowczo protestuje.

Jego zdaniem zniesienie limitów spowoduje, że za leczenie raka będzie brał każdy szpital czy przychodnia. Rozrośnie się rynek świadczeniodawców, niekoniecznie leczących skutecznie i ordynujących chorym niepotrzebne, a kosztowne badania i procedury. Sami pacjenci nie są przecież w stanie ocenić, co i dlaczego lekarz im zaleca. Znamy to już z kardiolo-

gii. I z USA, gdzie obliczono, że na zbędne badania i procedury wydaje się aż 650 mld dol. rocznie (za portalem Medexpress).

Wygłosiwszy taki pogląd, Pawłowicz – eksperymentalnie, do marca – sam znosi limity przyjęć. Przyjmuje w Bydgoszczy wszystkich zgłaszających się pacjentów, ale tylko z już zdiagnozowanym nowotworem. Zamierza w ten sposób uniknąć szturmów osób, które chciałyby się jedynie przebadac. Zobacz, do czego to doprowadzi. Na razie jakiegoś nawału pacjentów Centrum Onkologii w Bydgoszczy nie ma.

W ślady Pawłowicza idzie Szpital Morski w Gdyni Redłowie. Jego prezes Tomasz Sławatyniec wyliczył, że dzięki zniesieniu limitów pacjenci onkologiczni będą czekać na operację nie miesiąc, jak do tej pory, ale dwa tygodnie. Wprawdzie pomorski NFZ formalnie nic o tym nie wie, ale z góry zapowiada, że za ponadlimitowe operacje zapłaci. Pięknie. Dobre i dwa tygodnie przyspieszenia terapii. Tylko że problem leży zupełnie gdzie indziej.

Minister boi się lekarzy

Główną słabością polskiego systemu zwalczania raka jest zła organizacja. Panuje tu kompletny chaos. Bo Polska nie tylko różni się od Zachodu tym, że na leczenie wydaje mniej – u nas te pieniądze bardziej służą wąsko rozumianym regułom rynku niż pacjentom. Podłe, często niehumanitarne warunki panujące w niedoinwestowanych państwowych szpitalach onkologicznych w sposób naturalny zrodziły konkurencję. Prywatne kliniki, oferujące bardziej komfortowe i intymne warunki leczenia, mnożą się jak grzyby po deszczu. Ale każda swój biznesplan opiera na kontrakcie z NFZ.

Służba zdrowia to dziś żyła złota, ponad 60 mld zł do zarobienia. Chętnie się więc w leczenie inwestuje. I bardzo dobrze. Ale jednocześnie państwo przyryka oczy na towarzyszące temu procesowi patologie. Powstają swoiste unie personalne łączące publiczne z prywatnym. Te same utytułowane osoby są jednocześnie ordynatorami w szpitalu państwowym i szefami (nierzadko udziałowcami) u jego prywatnego konkurenta. Sterują ruchem pacjentów tak, by prywatnemu żyło się dostatniej, a trudniejsze przypadki trafiały do państwowego. I wreszcie – na co są przykłady – haruje się na prywatnym, a odsypia na dyżurze w państwowym.

Konkurencja polega tylko na tym, że świadczeniodawców jest coraz więcej, ale procesu leczenia raka (także innych chorób) nie koordynuje nikt. Kolejni lekarze, do których dobieje się chory, przeważnie widzą go po raz pierwszy, a także często ostatni. O chorobie pacjenta wiedzą tyle, co wyczytają w papierach, które ze sobą przyniesie. Tego najważniejszego, czyli lekarza prowadzącego i śledzącego przebieg całej kuracji, w obecnym systemie brak. Nie zastąpi go przygotowywana od lat i ciągle niegotowa platforma cyfrowa (mówi się o jej wdrożeniu w 2016 r.). Będzie na niej historia choroby, ale nie będzie człowieka, który kurację, jeśli trzeba, przyspieszy, zmodyfikuje, dopilnuje.

Urszula S., jako osoba po 50, dostała zaproszenie na bezpłatną mammografię. Z racji wieku znajduje się w grupie ryzyka raka piersi, państwo finansuje badania przesiewowe dla kobiet w wieku 50–69 lat. Mądrze. Rak wykryty wcześniej lepiej rokuje. Urszula S. wybrała z listy przychodnię (świadczeniodawcę), do której ma najbliżej. Zapisła się na dogodny dla siebie termin. Europa się skończyła, gdy otrzymała wynik badania. Ma guza. Lekarz radzi, by jak najszybciej udała się do onkologa. Do onkologa można się zapisać bez skierowania. Ale gdzie? Do którego? Na kiedy? Tego świadczeniodawca nie podaje. Nie jego sprawa. On ma kontrakt tylko na mammografię.

że często marnie działające – dostają więc relatywnie mniejsze kontrakty (i coraz bardziej marnieją). Ministerstwo Zdrowia już wie, że tę tendencję trzeba jak najszybciej odwrócić, ale nie chce mówić jak. Bo chyba ciągle nie ma pomysłu, a przede wszystkim boi się awantur, wejścia w konflikt rozgrywający się między wpływowymi postaciami środowiska medycznego. A nie odcujemy poprawy, jeśli system nie zostanie scalony.

Przykład: Flora K. z Jastarni z kiepskim wynikiem USG i jak najgorszym podejrzeniem lekarki rodzinnej została odprawiona z kwitkiem ze szpitala w Wejherowie. – *Lekarz, który mnie zbadał, orzekł, że jest już dla mnie za późno* – opowiada. – *Mam gnój w środku. Oni takich przypadków nie operują. Na pytanie, co mam robić, wzruszył ramionami*. Przez kilka dni płakała. Potem znajomi poradzili, żeby pojechała do Redłowa. Tam wykazali więcej zainteresowania. Czekala na operację trzy tygodnie. Minęło półtora roku, ciągle jest pod opieką gdyńskiego szpitala molocha. Badania potwierdzają dobre rokowania.

Urszula S. udała się do Centrum Onkologii na Ursynowie, jeszcze większego molocha, przeżywanego sarkastycznie „Centrum Zdrowia Raka”. I zobaczyła tłum przerażonych, od świtu czekających na wizytę ludzi. O żadnym konsylium, które opracuje dla niej plan leczenia, nie ma co marzyć. Podobnie jak reszta stłoczonych tu chorych. Nie ma przepisów, które nakładałyby na lekarzy taki obowiązek. Przy tak pokawałkowanym, jak u nas, procesie leczenia nie bardzo nawet wiadomo, na kogo miałyby się taki obowiązek nałożyć, choć akurat w Centrum Onkologii powinno być o to najłatwiej.

Ale onkologów w ogóle jest za mało, bo specjalizację trudno jest otworzyć i skończyć. To kolejny problem. Urszula S. tak się będzie leczyć, jak sobie wychodzi. Spróbuje zapisać się na prywatną wizytę do któregoś z lekarzy pracujących na Ursynowie. Ma nadzieję w ten sposób kupić sobie odrobinę zainteresowania dla swojej choroby. Wielu chorych rozumuje podobnie: dostać się prywatnie, czyli za pieniądze, do lekarza, który potem pomoże

raka znikną wraz ze zniesieniem limitów finansowych ograniczających liczbę świadczeń medycznych. jeszcze gorzej. Bo na dodatkowych pieniądzech rozrosną się patologiczne części systemu.

Gdyby Urszula S. – mówi lekarz, który jakiś czas pracował na Zachodzie – mieszkała w Niemczech albo we Francji, od razu po otrzymaniu niepokojącego wyniku badań trafiłaby w ręce lekarza koordynatora. Ustaliliby z nią miejsce i termin operacji. Zwołał coś w rodzaju konsylium składającego się z chirurga, chemioterapeuty, radioterapeuty i psychologa. Wspólnie opracowaliby dla pacjentki plan całościowego leczenia, rokującego największą skuteczność. Zdecydowaliby, czy w jej przypadku lepsza jest chemio- czy może radioterapia. I wskazaliby miejsce oraz terminy kolejnych etapów kuracji. Całą logistykę leczenia wzięłoby na siebie system. Nasz system logistykę zwałił na chorego i jego rodzinę, przebieg leczenia uzależniając od dojsz, uporu, determinacji, sprytu, szczęścia.

Mnoży się liczba świadczeniodawców, ale każdy z nich zabiega o kontrakt dla siebie i żadnego wspólnego systemu leczenia nie tworzą. Dotychczasowe próby budowania systemu z poszczególnych elementów były przyjmowane przez poszczególnych świadczeniodawców, zwłaszcza nowe, prywatne kliniki, z wielką niechęcią. Jako dowód na faworyzowanie przez Ministerstwo Zdrowia oraz NFZ państwowych molochów, choć w większości przypadków tylko one są w stanie zapewnić leczenie kompleksowe.

Prywatni właściciele klinik, najczęściej specjalizujących się w najbardziej opłacalnych procedurach, każdą próbę premiowania kompleksowości leczenia gotowi są traktować jako zamach na wolną konkurencję i ograniczanie nowym podmiotom szans rozwoju i wzrostu. Do Urzędu Ochrony Konsumentów i Konkurencji trafia coraz więcej takich skarg i reguła rynkowej wolności najczęściej wygrywa. Duże państwowe szpitale – prawda,

poruszać się po nieprzyjaznym systemie. Samo zniesienie limitów niczego tu nie poprawi.

Z darmowej, przesiewowej mammografii korzysta zaledwie 27 proc. zaproszonych pacjentek. Podobnie jak z innych badań przesiewowych, np. wykrywających raka jelita grubego. Gdyby jednak skorzystali wszyscy, tłok w szpitalu na Ursynowie i w innych ośrodkach onkologicznych byłby jeszcze większy. Gdyby w dodatku – jak chce Krzysztof Bukiel – znieść też limity na diagnostykę, wielu pacjentów zechciałoby skorzystać z darmowej tomografii komputerowej czy rezonansu magnetycznego, a nawet PET. Nierzadko niepotrzebnie. Jak w Ameryce. Żadna publiczna służba zdrowia nie wytrzyma takiego naporu, nasha w szczególności. NFZ od dawna ubolewa, że nowoczesnego sprzętu już teraz mamy stosunkowo dużo, brakuje natomiast lekarzy, którzy umieją dobrze odczytywać wyniki badań. I dobrze ustawić leczenie. Od zniesienia limitów ich nie przybędzie.

Pacjent nie wie, gdzie leczyć skutecznie

W imię konkurencji rynkowej (każdy, kto spełnia warunki techniczne, ma prawo do kontraktu z NFZ) proces leczenia pocięto na pojedyncze procedury, wykonywane przez różnych świadczeniodawców. Prywatne firmy inwestują, gdzie chcą, najchętniej w dużych miastach. Zarobią na kontrakcie z NFZ, ale państwo nie śmie poprosić, aby inwestowali tam, gdzie są najbardziej potrzebni. Np. w regionach, w których chorzy mają najgorszy dostęp do leczenia: w Lubuskiem, na Warmii i Mazurach, Podkarpaciu.

Skutki tego braku polityki zdrowotnej są opłakane. Dla chorych, nie dla świadczeniodawców. W całym kraju są już ►